Wczoraj po powrocie z ZUSu zajrzałam do domku fundacji (zagruntowane ściany na parterze i położone kafelki w wejściu do sali), zrobiłam mały obchód po ogrodzie (nie padało – po raz pierwszy od kilku dni) i weszłam do domu, aby zrobić obiad.
Następnie, już po obiedzie, M spytał – *Chcesz zobaczyć ropuchę?*
No oczywiście, że chciałam!
Przedwczoraj wieczorem M wrócił z wieczornego spaceru z psami i opowiedział mi, że stało się coś dziwnego.
Coffee zajrzała do norki pod drzewem i gwałtownie odskoczyła tocząc pianę z pyska.
Czy to wąż?
Okazało się, że to ropucha. Siedzi przed norą i wygrzewa się, a wyczuwając zagrożenie chowa się pod ziemię.
I to właśnie chciał mi pokazać M. Cenię sobie niezwykle tę wrażliwość M na przyrodę (szczególnie Jego zamiłowanie do ptaków, które sprawiło, że znam taką odmianę jak Makolągwa!), więc z ciekawością poszłam zobaczyć tę istotę, która – w rzeczy samej – wygrzewała się na piasku.
I stąd było już tylko kilkadziesiąt kroków boso do rabatek, które po moim marcowym pieleniu znów zarosły chwastami.
Założyłam więc rękawice (butów natomiast nie zakładałam) i wypieliłam rabatkę przed domem, a w nagrodę zerwałam sobie swoje własne kwiaty do wazonów!
Czy to nie jest piękne?
Pigwę i bez sadziłam własnoręcznie kilka lat temu, a kocimiętkę sadziła nam ekipa ogrodnicza w ubiegłe lato.
Być może nawet pamiętacie ten czas z bloga. Było mi trudno to przeżyć, ale teraz wszystko się pięknie odwdzięcza i rośnie i kwitnie i pachnie.
Chociaż M twierdzi, że nic nie pachnie, lecz trąci kocim moczem… (i używa zgoła innego słownictwa, którego tu nie zapraszam)
Kocimiętka przyciąga wszystkie okoliczne kocury.













